

# WIDNOKRĄC

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ  
Z „NOWINAMI  
RZESZOWSKIMI”  
Nr 27 (249)  
Rok VI  
10 VII 1986 r.

Jedenasta w kraju

## Rzeszowska Filharmonia im. Artura Malawskiego

Dyrektor Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie Józef Maroń żegnając słuchaczy przed przerwą letnią i wyjazdem zespołu na Festiwal Orkiestr Symfonicznych Polski Południowej do Ciechocinka „tajemniczo” podkreślił, że od poziomu koncertów i prezentacji rzeszowskich muzyków niejedną sprawą jest uzależniona. Wiedzieliśmy, że występ w Ciechocinku to ważka dla zespołu „próba sił”...

Wrócili syci chwały i co ważniejsze z placetem ministerialnym na awans z zespołu symfonicznego na filharmonię.

Ostatnio kierownictwo Wydziału Kultury Prez. WRN zorganizowało spotkanie, w czasie którego omówiono przygotowania do przekształcenia POS i święta, jakim zapewne będzie dzień nadania rzeszowskiemu zespołowi nazwy „Filharmonia”, co nie jest bez znaczenia dla życia kulturalnego Rzeszowa w ogóle. Już w tym roku kalendarzowym jako jedenaste miasto — siedzibę Państwowej Filharmonii obok Bydgoszczy, Gdańska, Katowic, Krakowa, Lublina, Łodzi, Poznania, Szczecina, Warszawy i Wrocławia wymieniana się będzie... R z e s z ó w !

Muzycy za swego patrona ar-

tystycznego zamierzają uznać zmarłego w 1957 r. kompozytora i dyrygenta polskiego, rodem z Przemyśla Artura Malawskiego, który dziś uważany jest za najsilniejszą indywidualność twórczą po Szymanowskim. Jednym z uczniów Malawskiego jest nota bene Janusz Ambros, prowadzący rzeszowski zespół jako kierownik artystyczny i I dyrygent przez 12 lat, tj. od chwili przekształcenia wojewódzkiej orkiestry w państwową symfoniczną i obecnie w filharmonię.

Uroczystość nominacyjna nastąpi w dniu wbudowania aktu erekcyjnego w fundamencie sali koncertowej, której budowa po przeliczonych perypetiach nareszcie przybrała realne kształty. Wierzymy, że przedsiębiorstwo budowlane zrobi wszystko, by uroczystość odbyła się w terminie jak najbliższym rozpoczęcia nowego sezonu artystycznego.

Filharmonia rzeszowska będzie też jedynym zespołem posiadającym własną Operę Kameralną, „bezdomy” bowiem zespół Stefana Sutkowskiego, który już dwukrotnie uświetnił premiami miniatur operowych łańcuch Dni Muzyki Kameralnej i gorąco przyjmowany był przez

miłośników tej imprezy, staje się naszą placówką, z siedzibą w Zamku — Muzeum. Tak więc również serdeczne starania dyrektora Antoniego Dudy — Dziełacza o właściwe wykorzystanie teatryku zamkowego nareszcie zakończą się sukcesem. Opera Kameralna będzie działała nie tylko na scenie łańcuckiej, lecz także gościnnie w różnych miejscowościach naszego województwa i kraju. Jak cenna atrakcją dla naszego najbardziej reprezentacyjnego zabytku będą systematyczne spektakle miniatur operowych, a już szczególnie w sezonie turystycznym — nie trzeba udowadniać!

Lipiec jest miesiącem urlopowym rzeszowskich muzyków. Wróca w sierpniu za pulpity, by przygotować się do koncertów inauguracyjnych sezon 1986/87 i do uroczystego koncertu poświęconego twórczości Artura Malawskiego, którym rozpoczyna pracę jako zespół Państwowej Filharmonii w Rzeszowie.

M. C. GUZIOŁEK

Post scriptum.

Od uroczystości, które raz jeszcze podkreślą bezsporny awans kulturalny Rzeszowszczyzny dzieli nas jeszcze kilkanaście zapewne tygodni. Wystarczający więc czas, by zapewnić właściwe warunki do pracy i odpoczynku czło wiekowi, który wiele lat poświęcił na wypracowanie dzisiejszego kształtu artystycznego orkiestry. Przydział garsonieri (o tak niewiele idzie) będzie dla Janusza Ambrosa bodajże najpiękniejszym wyrazem uznania jego działalności przez gospodarzy miasta i województwa. M. G.

## BRUNO JASIEŃSKI

(W 60 rocznicę urodzin)



Twórczość Bruna Jasińskiego, poety, prozaika i dramaturga wskazuje na związki poezji rewolucyjnej z nowatorsko-eksperymentalnymi tendencjami artystycznymi międzywojennego dwudziestolecia.

Burzliwe były losy Jasińskiego i jego twórczości. Urodził się 17 VII 1901 r. w Klimontowie k. Sandomierza. Naukę rozpoczął w gimnazjum im. M. Reja w Warszawie. Losy i wojny światowej zaprowadziły go z rodziną do Moskwy, gdzie przebywał w latach 1914—1918. Tam ukończył szkołę polską, tam też poznał znakomicie poezję rosyjską, szczególnie kształtującą się wtedy kierunek tzw. futuryzm, który reprezentował Włodzimierz Majakowski.

Od 1919 roku studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie założył Klub Futurystów pod nazwą „Kataranka”. W późniejszym okresie związał się silnie z lewicą rewolucyjną, współpracując z literacką prasą awangardową jak „Zwrotnica”, komunistyczną „Trybuną Robotniczą”, „Nową Kulturą” itp. W

roku 1921 wydał pierwszy zbiór poezji „But w butnierce”. W 1922 roku ukazał się jego poemat „Pieśń o głodzie”, w którym jest próba wiązania poezji futurystycznej z tematyką społeczno-rewolucyjną. W 1923 roku powstała powieść „Nigdy Izolda Morgan”, osnuta na konflikcie pomiędzy człowiekiem a maszyną. Cenzura konfiskująca zaciekle jego utwory, otaczająca go nieprzyjazną atmosfera i ataki prasy burżuazyjnej nakłoniły go do wyjazdu do Francji. W roku 1926 ukazał się sztandarowy jego poemat, najwybitniejsze bodaj dzieło jego życia: „Słowo o Jakubie Szeli”. Jest to dynamiczna forma epickiej poezji ludowej, rehabilitująca przywódcę powstania galicyjskiego. W 1926 roku ukazała się jego powieść „Pałę Paryż”, w której Jasiński pokazał fantastyczną wizję Paryża dziesięć lat po powstaniu, w którym opanowanego przez międzynarodowy proletariát. Książka ta roślawiła imię autora, dzięki swej wartości jak również i perypetiom, jakie wynikły po jej ukazaniu się. Wydalony za tę powieść z Francji, pomimo protestów postępowych pisarzy i szerokiej opinii publicznej — osiedlił się w Związku Radzieckim. W 1934 roku został członkiem Zarządu Głównego Związku Pisarzy Radzieckich. Redagował tam 4-języczne pismo „Literature Międzynarodowa” oraz wydawaną w języku polskim „Kulturę Mas”. Parokrotnie zwiedził Tadżykistan i kraj ten stał się terenem akcji jednej z najpopularniejszych powieści pt. „Człowiek zmienia skórę” poświęconej budowie socjalistycznej na południu Związku Radzieckiego.

Twórczość Jasińskiego tłumaczona jest na wiele języków świata, również i na polski. W 1937 roku Jasiński — na skutek prowokacji — został aresztowany pod fałszywymi zarzutami politycznymi i skazany na 15 lat obozu. Zmarł po ciężkiej chorobie w szpitalu obywateli w 1939 roku. Zrehabilitowany pośmiertnie w roku 1956. (SK)

Opracowanie CAF



**O** PÓLNOCY z ostatniej niedzieli czerwca na poniedziałek w reprezentacyjnej sali pięknego ratusza opolskiego, przewodniczący Prezydium MRN mgr Henryk Tabor podejmował laureatów IV Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki i dziennikarzy pożegnalnym bankietem. Rozchmurzył się tu nastrojowo nieudany pokaz ognia sztucznych, który należy już do tradycji i dotychczas był jednym z najbardziej uroczystych akcentów kończących festiwal. Porywisty wiatr zadrwił sobie ze sztuki pirotechnicznej i rozosił rać według „własnych założeń”. Eliminacje trzeba było przerwać. Mielimy jeszcze w pamięci bajeczną feerię świateł i barw ubiegłorocznego pokazu, który długo przykuł do miejsc wielotysięczną publiczność finałowego koncertu. Tym większy żal... ale i piosenka mówi „nie dwa razy się nie zdarza”. Za to na ratunku od nowa rozgorzała dyskusja nad polską piosenką.

Jaka więc jesteś polska piosenka? Czy festiwal „Opole 86” był reprezentatywnym przeglądem dorobku piosenkarstwa ostatniego roku i czy spełnił rolę popularyzatora nowości?

Od pierwszego festiwalu upłynęły 4 lata. W tym okresie po różnych potknięciach organizacyjnych, eksperymentach dających w efekcie — jak to ktoś przymilnie nazwał — „uroczy kramik piosenkarstwa”, gdyż chciano pokazać moc piosenek i jak

najwięcej wykonawców — wyrósł piękny w formie Festiwal „Opole 86”. Plan imprezy nareszcie ułożony z głową! Tytuły poszczególnych koncertów nie były od parady, lecz znajdowały pokrycie w programie.

W uporządkowaniu przebiegu festiwalu komisja artystyczna zdała egzamin na piątkę! Wprowadzono nowość: koncert piosenek przemysłowych, które wyłoniono drogą specjalnego konkursu. W Opolu przedstawiono 7 laureatek, wszystkie wróble ówczesnego konkursu były wyjątkowo popularne i wpłynęły na ponad 500 piosenek (niech tekściarze i kompozytorzy dochodzą swych racji, sobie dostępnymi drogami). Przedstawione na festiwalu były naprawdę o wysokich walorach artystycznych, aczkolwiek cechował je wielki format i dramatyczny kształt, podkreślany jeszcze „monumentalną instrumentalnością; bliższe więc były pieśni niż piosence. Dla przykładu warto przypomnieć „Zawładzona” z muzyką Klimczuka do słów Grochowiaka, którą śpiewał Krzysztof Cwynar bądź „Powróćisz tu” Figla i Kondratowicza w wykonaniu Ireny Santor.

Czy to źle? Nie uważam! Jest to nawiązanie do starych tradycji pieśni, a równocześnie jakoby przeciwstawienie się zajęwowi często beznamiętnej, lecz rytmicznej piosence młodzieżowej. Taki styl obowiązuje w piosence europejskiej i nie tylko europejskiej. Pamiętamy prze-

cież greckie piosenki tak entuzjastycznie przyjmowane w Sopocie. Pamiętamy dramatyczną, pełną ekspresji Monique Leyrac, śpiewającą „Mój kraj” itd. A piosenki osławionego rzecznika w tej dziedzinie — Festiwalu w San Remo?

Ogólnie plan festiwalu jest bogaty: kilkanaście piosenek o dużych wartościach artystycznych, kilka utworów, które mają pełne szanse zostać — jeżeli ich nie są — przebojami niejednego sezonu. Wyświetlenie tylko szlaster „Żyć się raz” z muzyką Markiewicza do słów Zywulaka. Śpiewany z ogromnym wdziękiem i swadą przez Renę Błeska kupił sobie z miejsca opalską publiczność i miłośników piosenki w całej Polsce. Z Opola wyjeżdżaliśmy nucąc właśnie refren a w Rzeszowie powitało mnie „Żyć się raz” w wykonaniu „dziewicy mojego podwórka”. O popularności piosenki dwóch Janów z Gdańska: Tomaszewskiego i Bolgatego: „Serwus panie chief”, wyróżnionej Nagrodą Ostrówka (Ostrówek to nazwa wyspy, na której znajduje się amfiteatr opolski), ufundowana przez dziennikarzy akredytowanych przy festiwalu, nie trzeba dziś już mówić, bo śpiewa ją całe Wybrzeże od kilku miesięcy w Polsce. A „Moda na skakanie” Żylińskiego do słów Eiszera — czyż to nie szlagier? Nie tak dawno dowiecipiły pytania gromko „gdzie jest szlagier do cholery” wiedząc, że przeboje nie rodzą się na festiwalach, ale w sprzyjającej atmosferze może nam grozić

„kleśka urodzaju”. Może, ale na szczęście jeszcze nie grozi! Przeboj jest przyjemnym dodatkiem, przystawką lub deserem — jak kto chce — do festiwalu; miernikiem jednak może być tylko przeciętny poziom piosenek. A tych przedstawił ostatni festiwal niemało.

Dalszą nowością było nagradzanie piosenek przez jury z programów wyznaczonych koncertów i ogłaszanie wyników w tym samym dniu lub wieczorem. Tak więc jury mogło skoncentrować uwagę na samych utworach, nie rozpraszając wysiłków na wyławianie piosenek z ogromnego, lecz dokonanego z dużą pieczołowitością programu festiwalowego (przecież w czasie każdego z 7 koncertów w amfiteatrze i „Maratonu Kabaretowego”, który z uwagi na charakter piosenek — małe formy — odbył się w Teatrze Lalek — wykonano 27—30 kompozycji). I bodajże po raz pierwszy werdykt jury był przyjęty z ogólnym aplauzem.

Poważne zastrzeżenia natomiast padały pod adresem tzw. jury publiczności. Powołanie tego sądu jest także nowością. Jury składające się z trzech przedstawicieli Opola i trzech delegatów warszawskiego Klubu Miłośników Piosenki miało wytypować 3 piosenki, bądź 3 wykonawców i swój werdykt poddać pod głosowanie całej widowni. Publiczność czasem trwania braw zmieniała kolejność, a jury publiczności wzięło pod uwagę nateżenie siły oklasków niezgodnie z umową i podtrzymywało własną ocenę. I tak społeczne jury swych mandatariuszy wystawiło do wiatru! A fe! Nagroda publiczności jest tylko symbolicznym uznaniem artysty danego piosenkarza. Jednak prawdziwa sympatia tysięcy słuchaczy często więcej znaczy niż szeleszcząca mamona!

Z innowacji trzeba jeszcze wspom

nieć o „Koncercie młodości”, w którym biorą wyłącznie udział zespoły młodego uderzenia. W związku z powołaniem Festiwalu Nastolatków postanowiono z opolskich „konkurencji” wyliczyć zespoły big-beatowe. Odbiegają one zresztą zupełnie od ogólnego nastroju piosenek opolskich i koncerty te mają też swego rodzaju jedyną publiczność, z którą trzeba jeszcze zbyt często obchodzić się jak z materiałem łatwopalnym. W czasie ostatniego festiwalu zapalnikami dla tych gorących głów — przykre, ale prawdziwe — stał się rzeszowski zespół Blackautów. Im po części trzeba przypisać burdę, którą zlikwidowano dzięki błyskawicznej akcji. Nasi reprezentanci mocnego uderzenia przyjechali z dużym opóźnieniem i próbie mikrofonową przeprowadzono tuż przed koncertem, zamykając z konieczności amfiteatr. Wówczas entuzjastyczny big-beat próbował szturmem zdobyć wejścia. Poeci szłyby, niejedni zostali poturbowani... Cześć wina za incydent muszą wziąć na swe konto organizatorzy festiwalu. Ogólnie przyjęto, że niedyscyplinowane zespoły automatycznie eliminuje się z udziału w imprezie, zgodnie z zasadą „kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi”. Warto, by Blackauty pomyśleli też o jakimś jednolitym ubiorze. Jakże niereprezentacyjnie — łagodnie mówiąc — wyglądali oni na tle zadbanych krakowskich Skaldów czy barwnej, stylizowanej grupy łódzkiej Trubadurów.

Honor przedstawicielstwa Rzeszowa uratowała Ania Zebrowska wdziękiem, urodą i ciekawą interpretacją trudnej piosenki z repertuaru Igi Cembrzyńskiej „Mówiłam

CIĄC DALSY NAST...

Adolf Jakubowicz

# TU JEST MÓJ DOM

Z budynku szkoły jest piękny widok na miasto. Teraz, nim jeszcze nie skryło się w zieleni, jego sylwetka rysuje się czystą, określoną plamą. Obok szkoły budynek internatu, wzniesiony po wojnie, utrzymany niezwykle czysto i schludnie. Wraz z profesorem liceum Antonim Gierszewskim i dyrektorem mgr Stanisławem Hertlem (rzyszowianin z urodzenia, ławianin z sentymentu) zwiedzam dumę szkoły: położony tuż nad jeziorem piękny ośrodek sportów wodnych i przystań zbudowaną dzięki inicjatywie grupy żeglarzy, przy współudziale całej młodzieży. W pomieszczeniach ośrodka trwają prace przy remoncie łodzi na najbliższy sezon letni.

Na nieużytkach otrzymanych niedawno przez szkołę prowadzi się prace niwelacyjne. W przyszłości powstanie tu piękny sad. Obok młodzieży pracują dorośli. To rodzice dzieci uczęszczających do liceum. Przyjechali własnymi furmankami, żeby szybciej ukończyć te prace.

Nie wiem, czy wiele znalazłoby się w Polsce szkół, które mogłyby konkurować poziomem, pięknym otoczeniem z Liceum Ogólnokształcącym w Iławie. Znają Iławę wodniacy przemierzający szlaki mazurskich jezior. Przeciętny Polak wie dziś o niej więcej dzięki ubiegłorocznemu telewizyjnemu turniejowi miast, w którym była ona zwyciężcą.

Miasto zniszczone w czasie ostatniej wojny w 75 procentach odbudowuje się i rozbudowuje coraz piękniej, znać w nim rękę architekta i urbanisty, którzy potrafili połączyć doraźne potrzeby miasta z jego perspektywnym rozwojem i niepoświadczonymi walorami krajobrazu.

Co myślą o Iławie, o Warmii i Mazurach ci, którzy nie pamiętają ani lat przedwojennych, ani okresu wojennej epoki osadnictwa na tych terenach?

Przedstawiam ich. Jest ich dwięciu. Sześć dziewcząt, trzech chłopców. Uczęszczają do tułejzszego liceum, klasa dziesiąta i jedenasta. Troje z nich pochodzi ze wsi, rodzice ich mają tam gospodarstwa. Poza tym: córka lekarza, szewca, pracownika poczty, państwowego gospodarstwa rolnego.

Co myślą o ziemi, na której albo

się urodzili, lub na którą przyjechali, jakie mają projekty na przyszłość, co chcieliby osiągnąć, do czego dążą? Mówią o tym szczerze, bez afekcji, po prostu wypowiadają swoje sądy nastolatków. Ze przedstawiony wybór jest mało reprezentatywny? Być może, ale wydaje mi się, że zawiera on skromną część wiedzy o poglądach młodych ludzi znaną mazurskich jezior z roku 1966. A więc oddajmy głos Elżbiecie, Urszuli, Adamowi, Leszkowi, Barbarze, Danucie, Marii, Romanowi i Annie.

— Pochodzę z województwa zielonogórskiego. Ostatnio mieszkałam w Zielonej Górze. Do Iławy przyjechałam przed ośmiu laty. Moi rodzice pochodzą z różnych krańców Polski i w związku z tym miałam bardzo mało styczności z tymi terenami. Kiedy poznałam te ziemie to moge powiedzieć o nich powiedzieć.

— Moje losy były podobne. Ja przyjechałam do Iławy mając dziesięć lat. Rodzice są również z różnych stron. Ojciec urodził się we Lwowie, mama pochodzi z Zagłębia. Bardzo mi się podobają te tereny i przyszłość swoja wiąże z Mazurami.

— ...k mam to rozumieć.

— Chcę studiować rolnictwo, lub leśnictwo. Rozmawiamy z koleżankami i kolegami na te tematy. Zamierzają po ukończeniu studiów wrócić tutaj. Ja również myślę, że po ukończeniu studiów wrócę do Iławy. Rozwijają się tu przemysł, dużo się buduje, ale jeszcze dużo trzeba, aby teren ten wyciągnąć całkowicie ze zniszczeń wojennych. Wiele tu jeszcze pozostało do zrobienia.

— Przyjechałam tutaj z województwa białostockiego. Jadąc w te strony bardzo źle się czułam. Inaczej sobie wyobrażałam życie na tych terenach. Spotkałam się z różnymi opiniami, że na tych ziemiach będzie nam źle, że są tu ludzie, którzy będą do nas wrogo nastawieni. Po przyjeździe tutaj przekonałam się, że jest zupełnie inaczej. Mam dużo koleżanek, z którymi się żyłam, i w ogóle bardzo dobrze się tu czuję.

— Ja urodziłam się w Iławie i kilka razy opuszczałam to miasto. Mówia, że aby ocenić coś co się lubi, lub kocha, to można to najlepiej ocenić gdy się je straci. Kiedyś opuściłam Warmię i Mazury na dłużej. Wtedy doszedłem do wniosku, że jednak gdzieś indziej życie nie układałoby mi się tak jak tu. Jestem przywiązany do tej ziemi. Mało, ja te ziemie właściwie kocham.

— Moi rodzice przyjechali tutaj po-



RYS. A. JAKUBOWICZ

dobnie jak i wielu innych kolegów z różnych stron. Matka pochodzi z Wilna, ojciec z Poznańskiego. Jestem wodniakiem i tereny te zwiadam w czasie różnych wycieczek. Tu są piękne jeziora, wspaniałe lasy. Polubiłem te tereny z tych właśnie wędrówek. Tu chciałbym pozostać, tu najlepiej się czuję.

— Pochodzę ze środowiska wiejskiego. Moi rodzice przeprowadzili się tu w roku 1949. Od tego czasu wychowuje się na wsi. Jak wyglądały sprawy tych ziem przed kilkudziesięciu laty wiem tylko z opowiadań rodziców czy innych gospodarzy. Wiem, że w mojej wsi są rolnicy z Rzeszowskiego, Pomorza i innych części kraju. Rodzice opowiadali mi, że jeszcze kilkanaście lat temu stosunek rolników do własnej pracy był jakiś obojętny. Traktowali te ziemie zupełnie inaczej. Obecnie sytuacja się zmieniła. Po prostu gospodarze zaczynają budować, stawiać nowe budynki, zabudowania gospodarcze. Był czas, że rozbierano we wsi stodoły. Wiele takich stodoł zniknęło w mojej wsi. Teraz przekonani są, że jest inaczej, że skończył się okres tymczasowości, że te ziemie są polskie i będą polskie. Jeśli chodzi o młode pokolenie wsi, to traktują te ziemie jako swoje własne. Te ziemie są polskie, muszą być polskie i nie ma sensu dyskutować na ten temat!

— Podzielim zdanie Romka. Chciałabym rozwinąć to co on powiedział. Rozmawiałam kiedyś z dziadkiem.

Mówił mi, że kiedy tu przyjechał to ziemie te wydawały mu się obce i nigdy nie wierzył, że się je tu zagospodaruje, że on na stare lata będzie mógł się do nich przywiązać. Rozmawiałem z nim po kilku latach. Zmienił całkowicie zdanie i uważa, że te ziemie są najbardziej ukochną dla niego i już by nigdy ich nie opuścił i gdyby mu ktoś postawił sprawę wyboru miejsca zamieszkania, to na pewno by pozostał właśnie tutaj.

— Ja również mieszkam na wsi, ale pochodzę z Lubawy. Z tamtego okresu, gdy tam mieszkałam, nic nie pamiętam. Przypominam sobie, że kiedy zaczęłam chodzić do szkoły, to w mojej wsi niewiele się działo. Jedyną rozrywką było kino objazdowe, które przyjeżdżało raz w miesiącu. Grano tam od razu dwa seanse. Miejsca oczywiście stojące. Drugą rozrywką to były raz, dwa razy w roku zabawy wiejskie. Pamiętam, z tego okresu, że zabawa wiała się nie z tym, żeby potanńczyć, ale ludzie przychodzili, żeby napić się wódki, żeby się bić. Potem była milicja, karetka pogotowia...

— Obecnie nie mogę po prostu zrozumieć zmiany poglądów ludności... Moja wieś nie jest taka duża. Ale wsi jest ponad 50 telewizorów, w każdym domu radio, pralka, nawet już są lodówki. Co się jeszcze zauważa? Ludzie u nas mniej kupują wódki.

— Punkt biblioteczny, który prowadziła moja mama przed dziesięciu laty był prawie nie odwiedzany. Książek prawie nie wymieniano. Teraz jest inaczej. Ludzie przychodzą, pvtają:

— No, kiedy wreszcie dostanie pani te nowe książki, czy jest coś nowego? Ludzie teraz dużo czytają. Kto jest najchętniej czytany? Sienkiewicz, Gojawiczyńska, Prus, Orzeszkowa, Zeromski. Wiadomo, że jak po książki się jedzie do wymiany, to najczęściej proszą o tych autorów.

— Naprawdę, aż mi się wierzyć nie chce, że można tak jednego autora czytać książka po książce.

— Druga charakterystyczna sprawa: dawniej wieś wyróżniała się ubiorem. Teraz, gdyby mi przyszło rozróżnić po ubiorze, która z moich koleżanek lub rówieśnic jest ze wsi, nie mogłabym tego zrobić. Dziewczęta ze wsi ubierają się bardzo ładnie, elegancko, skromnie, a przy tym z dużym smakiem.

— Ten pogląd, że dziewczyna w starej niemodnej sukience musi pochodzić ze wsi, według mnie, należy już jak i wiele innych podobnych stwierdzeń, do przeżytków. Wydaje mi się, że szybko zmiany, jakie następują na wsi to również cecha naszego terenu. Oczywiście, że ten szybki rozwój kulturalny, zacieranie się

różnic między miastem a wsią ma szereg ważnych źródeł społeczno-ekonomicznych. Chciałbym powiedzieć o czynnikach, może mniej ważnych, ale przecież istotnych. Dawniej w dużych ośrodkach, dużych wsiach nie słyszało się, żeby dzieci miały jakieś kluby, prowadzone przez osoby starsze. U mnie we wsi taki klub jest prowadzony przez drużynową zuchów. Dzieci chodzą tam bardzo często, bawią się, uczą wierszy. Drugi podobny klub jest prowadzony przez nauczycielkę. W tym drugim klubie dzieci wprost przepadają za panią, bo ta pani narysuje, pani uczy, pani jeszcze bajeczkę opowie, tak, że gdy wieczorem rodzice przychodzą po dzieć, to nie chcą wracać i z płaczem rozchodzą się do domów: „mamo, kiedy ja tu znowu przyjdę?”

— Inne przykłady zabawy... Zabawy taneczne podobnie jak kiedyś odbywają się również nieczęsto, ale przyczyna jest dziś zupełnie inna. We wsi jest klub-kawiarnia, gdzie można posłuchać dobrej muzyki, napić się kawy.

— Mówił ktoś o stabilizacji życia na tych ziemiach. Chciałbym uzupełnić głos Marysi przykładem, który jest mi znany i bliki.

— Dziesięć lat temu mój ojciec zaczął budować dom jednorodzinny. W ogóle sam pomyśl wzbudzał dużo sprzecznych sądów i opinii wśród mieszkańców tego miasteczka.

— Ludzie się śmiali z niego? Tak. Śmiali się i zupełnie się z tym nie kryli. Ludzie uważali, że nie ma sensu budować, że to wszystko może się jeszcze zmienić. Obecnie ci, którzy się śmiali najgłośniejsi, sami budują...

— Wydaje mi się, że to zwiększone zainteresowanie ludzi miejscem swego zamieszkania można by nawet w jakiś sposób wymierzyć...

— W naszym powiecie, przed dziesięciu laty, suma czynów społecznych przeliczanych na złotówki przypadająca na jednego mieszkańca nie przekraczała dziesięciu złotych. Dziś wynosi średnio 170 złotych rocznie.

— Ten aktywny stosunek ludzi do tych ziem wynika ze zmiany ich postawy.

— Wyjeżdżam z Iławy rannym pościągami. Z dziecinnych wózków patrzę na świat opatulone twarze przedszkolaków wieszonych przez rodziców, śpieszących się na pierwszą zmianę. Obok dworca kolejowego — kolonia jednorodzinnych domków z gęstą siecią telewizyjnych anten. Przy drodze kilku ludzi stawia płot. W szarych chwastach leży sterta pustaków i cegieł. Cztery wbite w ziemię pale wyznaczają miejsce pod nowy dom.



Wojciech Młynarski śpiewa zabawną piosenkę „Och, ty w życiu”.

FOT. ST. SYNDOMAN

## „OPOLE-66”

(Ciąg dalszy ze str. 1)

zartem”, w czasie koncertu „Mikrofon dla wszystkich”.

Dzisiaj, analizując Festiwal „Opole-66” z pewnego dystansu, po ochłodzeniu z uroków, jakim ulega każdy z chwilą zagospieszenia w stolicy polskiej piosenki (och, to Opole potrafi rozkochać w sobie największych cyników i malkontentów!) nie można nie zauważyć, że wśród prezydentów piosenek zabrakło grupy lubianych i uznanych piosenkarek i piosenkarzy. Demarczyk występowała tylko w zespole „Piwnicy pod Baranami”. Nie przyjechał bożyszcze młodzieży Piotr Szczepaniak. Villas zaśpiewała znowu piosenkę o matce i... uroczyście opuściła Opole. Nie było German, Łazuki... Czyżby sprawdziło się raz jeszcze twierdzenie, że dobra piosenka obrońcą się sama i niekoniecznie musi wprowadzić ją na estradę popularny piosenkarz czy piosenkarka — ulubienica publiczności, chociaż bezsprzecznie dobrzy artyści i cieka-

wi interpretatorzy ułatwiają piosenkom zdobyć serce słuchaczy. Np. czerwonołosa Kalina Jedrusik zaśpiewała piosenkę Przybory i Wasowskiego „S.O.S.” z oryginalnym aranżem Wasowskiego i z miejscą zdobyła dlań nagrodę specjalną Towarzystwa Przyjaciół Opola w wysokości 10 tys. złotych.

— Ale bez reszty podbiła publiczność Irena Santor, która po raz pierwszy występowała w opolskim amfiteatrze. Błysnęła pełnym kunsztem piosenkarstwa i zdobyła zasłużone uznanie krakowska piosenkarka Joanna Rawik. Utrwaliła swą pozycję lirycznej piosenkarki uroczą Lucja Prus.

— Opolanie zostali też wierni kapitałnemu Wojciechowi Młynarskiemu, witanemu zawsze huraganem oklasków i uśmiechem Tadeuszowi Chyle. Triumfy święcił też Andrzej Bychowski, który ujawnił się tym razem również jako piosenkarz charakterystyczny. Jednak wspominając opolski festiwal, nie zapominaj-

my, że przedmiotem oceny są tu tylko piosenki.

— Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki „wydorosła”, „ustatkowała się”, ale na szczęście nie spoważniała, zachował wspaniały bez troski nastrój radosnego święta piosenki, która przecież ma służyć odprężeniu i odpoczynkowi, ma być relaksem.

— Pokażcie mi drugie takie miasto jak Opole, które by na stałe przyjęło kłopotliwy przydomek Stolicy Polskiej Piosenki i nim się chlubiło na co dzień. Pokażcie mi drugą publiczność, której nie straszne są tradycyjne ulewki festiwalowe i traktuje „deszczową piosenkę” z humorem. Parasolka niemal jest tak samo ważna przed wyjściem do amfiteatru jak i bilet wstępu.

— Mimo wszystkich niewygód (m. in. nadal brak odpowiednio przestronnego hotelu itd.) do nadodrzańskiej Wenecji zawsze będzie się wracać — rzecz jasna — z parasolem, o czym przypominał wszystkim niezmordowany wódz miasta i entuzjasta polskiej piosenki zapraszając na festiwal „Opole-66”.

MARIA CECYLIA GUZIOLEK

Jan Bolesław Ożóg

## Czarny koń

Rwie, rwie woda, z liśćmi płynie,  
czarna, ciemna jak niebo na niebie.  
To ja nagi na Newskim moście  
konia łapię czarnego do ciebie.

Czarny koń mi na każdym rogu  
w cztery strony z mostu ucieka.  
Moja miła, gdzie w noc do ciebie?  
Jakim koniem w drogę z daleka?

Nagi, naga w leśnej leszczynie  
w Polsce nocy, szopie i ślante,  
łapię konia na Newskim moście  
i chusteczkę rzucam, niech stanie.

Z Leningradu, północną drogą  
czarny koń mi ucieka, ucieka  
i tratuje białą chusteczkę,  
dzika moja, dzika, daleka.

Leningrad, 31 X 1965.

Zbigniew Wawszczak

# Przemyski lekarz BRUNO SCHULTZA

Miło kto wie, że znakomity polski pisarz awangardowy, autor „Sklepów cynamonowych” i „Sanatorium pod klepsydrą”, książek, które przełożone w ostatnich latach na francuski zrobiły furorę w Paryżu, leczyl się u przemyskiego lekarza, dr Józefa Soneckiego.

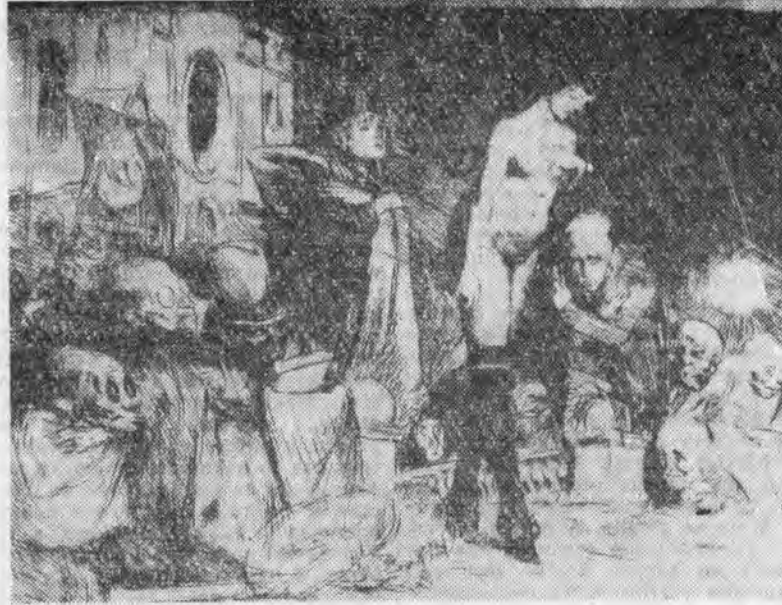
A było to tak. Z wyjątkiem okresu studiów, Bruno Schultz spędził całe swe życie, aż do tragicznej śmierci w rodzinnym Drohobyczu. Z Przemysła do Drohobycza niedaleko, to też kiedy po przebyciu dłuższej kuraacji w jednym z sanatoriów zakopiańskich, wrócił Schultz do rodzinnego miasta, poradzono mu, aby przez jakiś czas pozostawał pod opieką lekarską dra Soneckiego. Rady tej udzielił Schultzowi dr Sokołowski lub też Fiszer (dr Sonecki nie pamięta dokładnie który), z którymi przemyski lekarz utrzymywał dosyć bliskie kontakty i często opiekował się powracającymi z Zakopanego rekonwalescentami. Nie zdziwił się więc zbytnio, gdy któregoś dnia gdzieś w latach 1928—30 zgłosił się do jego gabinetu przy ul. Rejtana 10

nauczyciel z niedalekiego Drohobycza, Bruno Schultz. Odjazd regularnie, mniej więcej raz na miesiąc, Schultz przyjeżdżał na okresowe badania. Pacjent czuł się coraz lepiej, dr Sonecki nie stwierdzał żadnych nawrotów upartej choroby (Schultz cierpiał na gruźlicę), toteż po roku ustaly wizyty pozującego na cynika profesora, a w gruncie rzeczy człowieka bardzo wrażliwego. Tak przynajmniej charakteryzuje go w swych wspomnieniach przemyski

lekarz. Prawdopodobnie w czasie wizyt i rozmów z dr Soneckim Schultz zorientował się, że jego opiekun jest zapalonym kolekcjonerem dzieł sztuki, zbiera obrazy, porcelanę, numizmaty. I wtedy chyba wpadł na pomysł, aby ofiarować Soneckiemu któryś ze swych szkiców.

Okolo roku 1932 odwiedził doktora jego bliski kolega, nauczyciel liceum im. Siwackiego w Przemysku, Bienenstock. „Przywiozłem Ci rysunek od Twego pacjenta, Schultz z Drohobycza. To upominek dla Ciebie” — oświadczył Soneckiemu, wręczając mu niewielkich rozmiarów rysunek tuszem. Doktor uwierzył słowom szkolnego kolegi, dopiero kilkanaście lat później przekonał się, zresztą najzupełniej przypadkowo, że Bienenstock oszukał go. Otrzymał od Schultz rysunek polecił skopiować i kopię przekazał lekarzowi, zachowując dla siebie oryginał.

Rysunek ma charakter alegoryczny, symboliczny. Ukazuje przemoż-



na siłę kobiecości, której ulegają wszyscy. Filozofowie i bankierzy, politycy i wojskowi, prawodawcy i moralisci korzą się u stóp pięknej kobiety.

Kopia rysunku Schultz ocalała nie mał cudem. W czasie wojny mieszkanie dra Soneckiego zostało rozgrabione, a sam właściciel znalazł się w hitlerowskich obozach, wzięty do niewoli w kampanii wrześniowej. Doktor wyszedł obronną ręką z niewiarygodnych wprost opresji i aby dać świadectwo prawdy o stosunkach, jakie panowały w hitlerowskich obozach dla jeńców wojennych, aby zdementować lansowane

do dziś w NRF hasło o „czystych” rękach Wehrmachtu, opisał swe przeżycia w książce pt. „Byłem jeńcem Wehrmachtu”. Książka przyjęta została bardzo życzliwie. Zachęcony sukcesem autor (który mimo swych 83 lat trzyma się dobrze, nadal pracuje w szpitalu i prowadzi prywatną praktykę) przystąpił do pracy nad drugą książką o charakterze autobiograficznym. Obejmuje ona okres pierwszej wojny światowej, kiedy to dr Sonecki przebywał jako jeńiec austriacki w Rosji. A kopia rysunku Schultz jest jedną z najcenniejszych pamiątek dla doktora.

## Piętnasty — jubileuszowy festiwal filmów w Karlovych Varach

W Karlovych Varach rozpoczął się w środę jubileuszowy XV Międzynarodowy Festiwal Filmowy. O wielką nagrodę — Kryształowy Globus ubiegać się będą w konkursie festiwalowym 23 filmy z 22 krajów. Polskę reprezentować będzie „Sposób bycia”, film reżyserii Jana Rybkowskiego, oparty o utwór Kazimierza Brandysa. Pokaz naszego filmu odbędzie się w sobotę, 9 bm.

Gospodarze przedstawiają dwie pozycje: „Wóz do Wiednia” i „Czym skończy się noc?”. Ponadto filmy swe przedstawiają: Argentyna, Brazylia, Bułgaria, Grecja, Francja, Hiszpania, India, Japonia, Jugosławia, Kanada, Kuba, Mongolia, Rumunia, Tunezja, Węgry, Wielka Brytania, Wietnam Demokratyczny, Włochy, ZRA i ZSRR.

W Karlovych Varach odbywają się również pokazy licznych filmów pozakonkursowych. Kinematografia czechosłowacka prezentuje swoje najlepsze dzieła. Stany Zjednoczone, które nie uczestniczą w konkursie, przedstawiają na tych pokazach wiele popularnych filmów z ostatnich lat.

Nasz „Faraon” wyświetlony zostanie poza konkursem 12 lipca.

Uroczyste otwarcie XV MFF w Karlovych Varach nastąpiło w środę wieczorem. W sali bina hotelu „Moskwa”. Goście obejrzeli pokazany poza konkursem film Jana Kadara i Elmara Klosa „Sklep przy głównej ulicy”.

## Międzynarodowa Wystawa rysunków dzieci

W Moskwie otwarta została międzynarodowa wystawa rysunków dzieci. Ekspozycja zawiera 1500 prac młodych artystów z 42 krajów.

Inicjatorem wystawy była redakcja dziennika „Pionierskaja Prawda”. Na ogłoszony przez pismo konkurs pod hasłem „Mój kraj — mój dom” wpłynęło przeszło 70 tys. prac.

Po zamknięciu wystawy w Moskwie, rysunki dzieci zobaczy szereg innych krajów.

(Kt-PAP)

Wszyscy byli w ten dzień tacy eleganccy.

I lekarz z wąsikami, biały, jakby wycieczony w oście, mówiący do napotkanej starszej damy „całuję rączki paniencie”, za co otrzymał w prezencie najcudowniejszy z wymuszonych i pełnych zmarszczek uśmiechów.

I urzędnik z banku, któremu tryskała z oblicza dość obfita cyfra miesięcznej pensji.

I major, któremu złoty order rozdymał nader atletyczną pierś.

I dopiero co wyrosnięta pannica, uwieszona ramienia dryblasowatego fagasa w garniturze.

Chodnikami sunął mieniący się, kolorowy i rozgadany tłum. Gdzie oni tak wszyscy szli, wymieniając pełne słodyczy ukłony. Chyba przed siebie. Bo gdzieżby indziej mogli iść w ciepły, słoneczny, letni i wolny od pracy dzień, średnio lub dobrze zarabiający mieszczanie?

Herbert pragnął odpocząć. Był zmęczony. Ciężły mu buty, własne myśli, ciążyła mu kamieniem młynskim nawet ta mizerna, pozbawiona zamków i uchwyty, ceratowa tecka. Szedł alejami parku. Mijał emerytów, grających na tranzystorowych radiodiodach i panie z piśkami. A także matki z młodymi wózkami dla dzieci.

Szukał wolnego miejsca. W rzadko odwiedzanej części plant, w nieco zaśmieconym kącie znalazł jedną starą ławkę, pozbawioną na dodatek wielu żeber, snadź oddartych żywcem przez nocnych włóczykiów. Zdmuchnął kurz z tego odrzuconego na bok grata. Wyciął go rękawem przetłuszczonego kombinezonu. Dlaczego tak zrobił? Prędzej ze świadomości, że tak należy czynić, niż z rzetelnej konieczności. Odzież ochronną miał przecież umazaną smarami i przepaloną. Naderwane żerdki wbiły mu się w ciało. Siedział na wystających, a zardzewiałych gwoździach, na drzazgach i ulamkach tego, co niedawno zwąlo się porządna ławką stojącą na skrzyżowaniu dwu reprezentacyjnych alei.

— To są moje ostatnie godziny pobytu w tym mieście — pomyślał. Rozsunął kolana. Położył na nich łokcie. Głowę zwiesił w dół, patrząc między splecione palce. Wsparł się ciężarem całego korpusu o siebie samego.

Wtedy od strony głównej, wypełnionej strojnym tłumem ulicy zbliżyła się dziewczyna w płaszczu. Zapytała:

— Pozwól mi pan usiąść na tej ławce?

— Dlaczego nie. Ławka powinna

## HENRYK KAWIORSKI



być dla wszystkich, którzy chcą odpocząć.

— Przykro mi — odrzekła.

Podniósł głowę. W głosie dziewczyny usłyszał bowiem nowy ton, którego nie było w pierwszym, można rzec, powitalnym zdaniu. Zobaczył sińce pod jej oczami.

— Siadaj — powiedział delikatnie i cicho.

Otuliła się płaszczem, przytrzymując szczególnie kołnierz, jakby dosięgło ją zimno. Przycupnęła na skraju drewnianego rozbitka. Złączone razem nogi wsunęła pod ławkę.

— Tobie musi czegoś brakować. Prawda? — zapytał.

— Nie wiem.

— Ty jesteś tu z miasta?

— Tak.

— Ja pracowałem w takim jednym zakładzie. Rozumiesz? Pracowałem za pieniądze.

— Nie dorobił się pan fortuny, jak widać.

— Miasto to nie dla mnie. Tu trzeba umieć kręcić głową, nadstawić wszędzie karku, przede wszystkim zaś kombinować. Nie kraść czy oszukiwać, bo tego nie spotkałem, tylko kombinować. Pojmujesz? Ja się do takich historii nie nadaję. Po prostu nie umiem. Wyjeżdżam dzisiaj na wieś do swoich. Mam tego miasta po dziurki w uszach. Za dwie godziny leci mój pociąg.

— Mógł pan nie przyjeżdżać do miasta. Mógł pan nie ruszać się stamtąd, gdzie było panu dobrze.

— Było mi dobrze? Ty wiesz, kim staje się rolnik, gdy przyjdzie zle? Ma konia, koń zachoruje i po koniu. Grad wymłóci zboże do cna, że ani ziarenka w kłosku, ani słomy na siewkę. Ogień strawi dom. I zostanie ręce i nogi, nic więcej, prócz pola.

— Z tym też można żyć, gdy ma się kogoś...

Herbert przyjrzał się dziewczynie jeszcze raz. Przyglądał się tym sińcom pod oczami i bruzdzie wokół ust, szpecącą młodą, najwyżej dwiętnastoletnią twarz, nie rozwiniętą jeszcze w pełni do tego, by mogła udawać kobietę, ale już zasterzała z powodu clerpienia czy niepowodzeń, ładną a prawie brzydką.

Wyłogi jej płaszcza, gdy nie trzymała kołnierza, odchyliły się. Herbert zobaczył stanik i fragment nocnej koszuli, pełniącej z pewnością rolę halki. Dziewczyna zapomniała włożyć bluzkę, lub też ubierając się, czy też wychodząc skądś, nie zastanawiała się nad kwestią ubioru. Podchwyciła to spojrzenie. Zebrała fałdy kołnierza. Otuliła go

wokół szyi. Zaciśnęła wargi. Pionowa zmarszczka na policzku stała się przez to bardziej wyraźna.

— Co ci się stało? Powiedź. Ja i tak wyjeżdżam, a może dałbym ci dobrą radę.

— Nie trzeba. Niczego nie chcę.

— Spędziłem w tym mieście dziewięć miesięcy. Ktoś powie — krótko. Inny znów powie, że długo. Miasto, to jednak miasto. Jadę teraz na wieś. Wezmę się do gospodarki. Postawię nowy dom.

Dziewczyna nie odpowiadała. Wówczas odezwał się do niej:

— Nie obrażaj się. To, co chcę zrobić, robię ze szczerego serca. Weź te pięćdziesiąt złotych i nie mów nic więcej, jeśli sobie tego życzysz.

Nie poruszyła się, gdy składał pieniądze w zagięciu płaszcza. Skłonił jej na dowidzenia. Podniósł się ciężko. Zabrał pod pachę chudą teczkę, w której nosił dokumenty i trochę osobistych drobiazgów: ręcznik oraz bezużyteczną w zasadzie szczołkę do butów. Przystanął jeszcze za rogami kamienicy.

Dziewczyna siedziała dalej na ogrodowym wraku, na zniszczonej ławce. Patrzyła w bok jak przedtem. Ręką przytrzymywała kołnierz, by nie rozwiał go wiatr.

Banknot zsunął się z jej kolan. Upadł pod nogi. Dostał się w objęcia pierwszego lepszego podmuchu i umykał chyżo razem z papierkami. Dziewczyna nie schyliła się, by go uratować. Pieniądze nie były jej widocznie potrzebne.



Cecylia Błońska

# ŚNIADANIE U STANLEY'A

W duchu nazywam to codzienną odprawą turystyczną. Wprawdzie nie odbywa się w burze podróży, jest jednak znacznie bardziej rygorystyczna niż przy udziale zawodowych przewodników.

— Wróciłam wczoraj spod Kilimandżaro, więc dzisiaj mogę chyba...  
— A dom Hemingway'a pokazano ci?

— Pokazywano.  
— Tam mieszka jego syn, widziasz go?

— Jakżeby. Dowiedziawszy się, że przejeżdżamy tamtędy, natychmiast wyskoczył z domu i chciał nam odczytać niepublikowany rękopis Papy, uwierzyłybyś w to?

Nasze przyjazne kłótnie toczą się o 7 rano w jadalni oświetlonej jeszcze elektryczną lampą. W ciepłym swetrze na welnianej sukni odczuwam wyraźne zimno. Nie jest to reminiscencja śniegów Kilimandżaro. Tu rzeczywiście ranki są bardzo chłodne. Ale ani mroźny nieomal przedświt, ani upalne przedpołudnie nie są w stanie nie zmienić w planach tzw. wściekłego zwiedzania, jakie nakreśla gospodarz — inicjator mojej podróży. Obowiązuje dokładne sprawozdanie, by nie nazwać tego raportem z wczorajszego wyjazdu. Nawijając doń, rozmawiamy jeszcze na temat najnowszej książki o Hemingway'u, o jego pobytach i polowaniach w Afryce, właśnie w Kenii.

I ówdzie z piękną ścianą ażurowego muru, wśród masywnych palm bez trudu odnajduję nowoczesny budynek poczty. Napisany na maszynie tekst depeszy z zawodową uprzejmością przyjmuje śniadoskóry Hindus z złotym wąsikiem, w turbanie niepokalanej bieli. Dla obliczenia należności puszcza w ruch... elektronową maszynę. Widocznie opłaca się, sądząc po wcale znacznym rachunku za tego rodzaju pocztową usługę, jaki otrzymuje wybitny na kartonowym bloczku. W ten sposób porozumieliśmy się bez trudu i bez słów.

Przed New Stanley hotelem zatrzymuje mnie uliczna ekspozycja pamiątkowych drobiazgów. Wkoło zatrzęsienie sklepów i sklepików z pamiątkami, a najbardziej na oczach, z wejściem wprost przez uliczną kawiarnię Stanley'a, mieści się sklepik o słodkutekłej nazwie „Madame et Monsieur Caramelli”, oferujący niemal wszystko od słodczy po dekoracyjne sztylety.

Godzina dwunasta w południe u Stanley'a nie odbiega znowu tak bardzo od południowej sjsyty w „Kosmosie” czy nawet w „Pstryczku”, jeśli nie brać pod uwagę fascynujących w swoim rodzaju obcych rozmów, które krzyżują się od stolika do stolika; w końcu mowa polska w sposób najbardziej nieoczekiwany łączy na moment

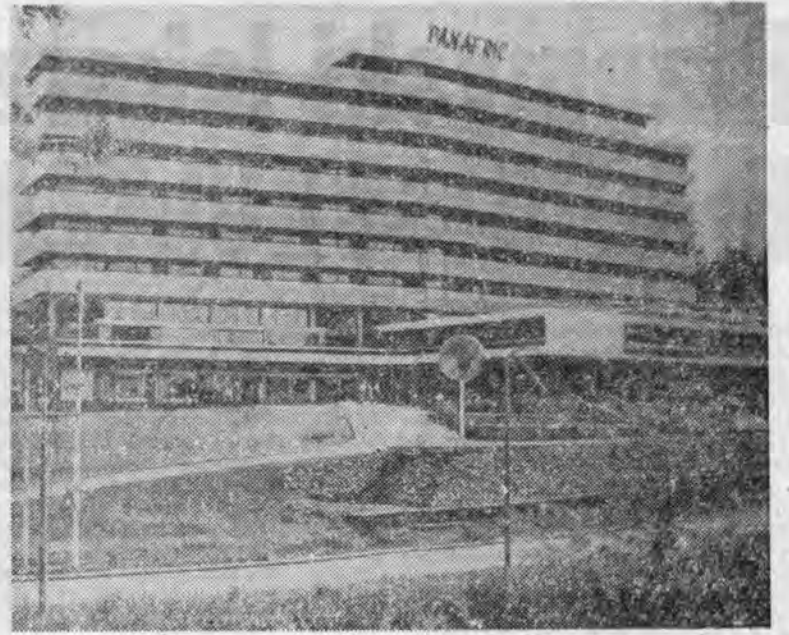
biorstwem tak daleko w buszu, bez pomocy mężczyzny. Nie napomina o trudności, która narzuca się w sposób oczywisty — o braku pieniędzy. — Ale skoro wyciągam stamtąd swoje utrzymanie — dodaje wadliwą polszczyznę — to gdzieś będą czekać czegoś innego.

— A nie usiłowała zarobkować w mieście?

Owszem. Była urzędniczką w jakimś małym biurze. Lecz w mieście jest zła komunikacja autobusowa, mieszkała bardzo daleko, więc gdy rano spóźniała się do pracy o kilka minut, szef czekał już w progę i witał ją „ośliwym „dobre popołudnie dla pani”. Nagle wyciąga ku mnie dłoń, na palcu widnieje ubożuchny pierścionek z niebieskim oczkiem: to właśnie szafir z naszej kopalni. Pięknie by na pani ręce wyglądał... Wyobrażam sobie ubaw przyjaciółek, gdyby zamiast wielkiego jak orzech laskowy jablonexa — tak nazywamy pięknie szlifowane czeskie błyszczące szkła, zobaczyły u mnie to jubilerskie biedactwo. Dopiero byłoby przygaduszek o złotym pierścionku z niebieskim oczkiem na szczęście.

— E nie, raczej nie lubię prawdziwej biżuterii. Dalej więc monotonnie, bez piano bez forte, ciągnie swoje opowiadanie. Przed hotel, przed którym siedzimy przy kawiarnianym stoliku, bez przerwy zajeżdżają samochody. Z wozu wynoszą kolekcję waliz w tonacji od zjadliwej akwamaryny do szklistej błękitu. Ich właścicielka ma niebiesko-siwę włosy.

— Dobre popołudnie — z moją przygodną znajomą wita się wysoki, prosto trzymający się szpakowaty mężczyzna z przyniesioną teczką w ręku. W nieubłąganym świetle afrykańskiego słońca widać misterne cery na koźnierzyku czystej, wyblakłej koszuli. Jego towarzyski unik, że przecież nie przystąpił tutaj, by kogoś wystraszyć, zatrzymuje mnie na chwilę. A potem pierwszy fragment ich rozmowy nie pozwala mi odejść. No, bo jeśli ona handluje szafirami, to on, okazuje się, jest właścicielem kopalni rubinów. Oboje ubodzy, zagubieni w sposób widoczny w tym mieście na równiku, wiodą teraz żywy dyskurs



NAIROBI: Hotel PANAFRIC — wielka inwestycja afrykańskiej stolicy służy przede wszystkim turystom.

o cenach swoich drogocennych kamieni. W międzyczasie mężczyzna zdołał wtrącić mimochodem, że jego ojciec piastował poważne stanowisko w kraju przed r. 1939.

— A on sam co tu porabia?

Nie jest sam. Ma żonę i trzy nieletnie córki. Co robił? Nieomal wszystko od prób ogrodnictwa do prób organizowania skupu żelaznego złomu. (Patrząc nań myślę, że niewątpliwie najtrudniejszą jest ta próba utrzymywania się na pozycji właściciela kopalni o „wielkiej próbie”). Nagle wyłaczysz się z handlowego dyskursu, opowiada po prostu, z ludzką, ojcowską troską o tym, jak to uskladawszy trochę groza, wysłał najstarszą córkę do Wrocławia, bo tutaj nie mogła dobrze opanować języka polskiego, a we Wrocławiu na pewno nauczy się poprawnej mowy. Odczłodził, gdy zjawia się trzeci gość. Jest to mężczyzna jeszcze młody, szykowny, tą przesadną elegancją, jaką czasem u nas na prowincjonalnej scenie domorosły reżyser wyincenizuje

„człowieka z wielkiego świata”. Być może, że kiedyś on sam w którymś z naszych małych miasteczek, tak właśnie wyobrażał sobie businessmana... Tych dwoje całkowicie podani ku niemu, widocznie czekali tylko na jego przyjście, szybko, z nerwowym ożywieniem oferują mu fikcję swoich prosperity, nie zauważwszy nawet mojego odejścia.

— Co oglądałaś — pytają mnie od progu.

— Oglądałam kino.

— A jednak... Gdzie, jaki film?  
— Widziałam śniadanie u Stanley'a. Panią domu, która wyraźnie nie w humorze oczyszcza akwarium, wyjmując jakieś kamyki, ryby bez ruchu, zapytuję z ciekawością: — on ma kopalnię rubinów?

— E, chyba nie wiele warte minerały, jakąś odkrywkę czy wyrobisko. O, to jest ten rubin.

I na ośliży, mokry ułomek piaskowca, bury o nikłych nitkach wyblakłej czerwieni, ostrożnie kładzie dwie nieżywe złote rybki...



Wypoczynek nad brzegiem błękitnego jeziora w cieniu palm atrakcja połowu ryb w kenijskich wodach — nie dla konsumentów ubożuchnego „śniadania” u STANLEY'A.

I jeszcze ostatnie zalecenie na dziś: jeśli już chcesz koniecznie zostać cały dzień w mieście, weź wóz.

— Nie umiem prowadzić samochodu...

Wciąż na plechotę, swobodnie sama wędruję po Nairobi — stolicy kenijskiej krainy. Po kilku minutach marszu asfaltowa szosa, przy której nie ma chodników, gdyż cały niemal ruch odbywa się pojazdami, staje przed potężnym masywem hotelu PANAFRIC. Na parterze rząd sklepów z pamiątkami, fryzjer oferujący na wystawie jakieś niezwykłe mastyksy, mające nadawać twarzy plamieniu rumieniec lub teatralną białosć, chłodny barek, w którym grupa Afrykańczyków — wszyscy w modnych okularach — pociągają coś przez słomkę. Wjeżdżam na ósme piętro — na korytarz pełen lustek i kwiatów. Na pewno nie jest to miejsce postoiu drobnych farmerów ani osadników przybywających do afrykańskiej stolicy z buszu. Raz po raz autobus z lotniska Embakasi, gdzie w ciągu nocy lądują samoloty pięciu międzynarodowych linii, przywozi bagaże i bogatych turystów.

Za chwilę przy okienku recepcji, obyczajem wszystkich turystów świata, spora grupa przyjeźdźców pragnie „dać znać” rodzinom. Za oszklonym kontuarem gramofonowa sznurów, wtyczek, skomplikowana centrala telefoniczna, czerwone i niebieskie żarówki, jednak cały ten techniczny wykwint nie jest w stanie sprostać przekazaniu zwozowej depeszy, jaką mama-turystka pragnie niezwłocznie nadać dzieciom gdzieś do Włoch, oczywiście w języku włoskim.

Widząc, że pocztowych spraw tu nie załatwi, schodzę ze wzgórze niżej ku miastu, gdzie wśród starych budynków w stylu wschodnim, tu

tych, którzy próbują tu żyć od czasu wojny czy też przybyli później, z tymi, którzy w torebce trzymanej pod pachą troskliwie przechowują powrotny bilet z dokładną określoną datą odjazdu.

— Zamówię sobie śniadanie później, czekam na znajomych — skromnie ubrana kobieta w średnim wieku, z głową natapirowaną na pierwszy rzut oka widać domowym sposobem, odmawia kelnerowi, który przyszedł po zamówienie. I wyjaśnia mi konfidencjonalnym szeptem, że raczej zamówi kawę później, bo gdy już zapłaci, a siedzi trochę dłużej, obsługa patrzy na nią nieprzychylnym okiem.

— Widocznie przesiaduje tu całymi godzinami? To zdawkowe pytanie wywołuje całą litanię skarg. Chociaż trudno to nawet tak określić. Jest to monotonna, bez żywego zaangażowania z jej strony opowiedziana wstrząsająca historia, która starczyłaby na całą książkę czy na scenariusz do filmu. Tym smutniejsza to relacja, że kobieta nie żali się, nie widzi swej niedoli, ba, w pewnej chwili próbuje powiedzieć mi, że raczej siebie pomyśliła, jaka ja tutaj spotkała. Jej opowieść jest jak filmowy obraz na zwolnionych obrótach: może sobie doskonale wyobrazić tę drogę zła, wyhoista, pełna lotnego piasku podczas upałów, grzejką w okresie tronalnych ulew, jak z ciężko chorującym mężem jeździła tamtędy wynajętym samochodem. Maż cierbiał, jego bóle potęgowały się w tych wyczerpujących podróżach, ale u narcie do ostatnich nieomal chwil jego życia, podążali z Nairobi do swojej kopalni.

Nie przerywam żadnym pytaniem. — A jest to, ni mniej ni więcej, kopalnia drogocennych kamieni, szafirów. Kobieta opowiada dalej, jak no śmierci męża znalazła się w okropnych kłopotach, które i przedtem nie były małe. No cóż, to bardzo uciążliwe zarządzać przedsię-

Franciszek Kotula

## O WĘDROWNYCH KATACH I PSIEJ

Z notatnika

Zastanowił musi fakt, że gdzieś około 1566 r. Wysoka, wieś w sąsiedztwie Łańcuta stosowała u siebie wyroki śmierci łącznie z egzekucją, podczas kiedy nie wszystkie nawet miasta posiadały „prawo miecza”. Zjawisko to, moim zdaniem, łączyć należy z faktem, że dobra łańcutkie już od r. 1565 należała do Stadnickiego, który śmiercią nazywał hojnie szrafów.

Łańcut, mimo że posiadał prawo miecza, że ława wydawała wyroki śmierci, a przedtem polecała stosowanie tortur, wykonywanych z zasady przez katów nie uwzględnił — „etatu dla mistrza (katak); korzystał z usług obcych.

Przed wszystkim stwierdza nasza księga — spotyka się to i w innych miastach — ciekawy wówczas zwyczaj, a mianowicie „katów — biegunów”. Byli to po prostu kaci bez stałego miejsca zatrudnienia, więc wędrowni, jak wielu innych rzemieślników w tamtych czasach. Wędrowali tedy do miasta do miasta, szukając zarobku, ofiarując swoje usługi, o ile w danej chwili doraźnie były potrzebne. Przypuszczalnie, że używano ich do różnego rodzaju chłost, jakichś drobniejszych tortur, a także do innych, niezbyt przyjemnych czynności. Może po prostu miasto na swoim terenie nie chciało mieć „mistrza” jako stałego mieszkańca, który aczkolwiek potrzebny, budził odrazę i wstręt. Np. w kwietniu 1589 r. kasjer miejski zanotował wydatek: „katowi od zakonowania psów gr 12”.

Tutaj mała dygresja; w Łańcutcie, a identycznie niewątpliwie było wszędzie, żyło mnóstwo bezpańskich w spot z dziczyńskich psów, które musiały być istną plagą. Wynika z wielu notatek, w rodzaju jak z 1 maja 1578 roku: „Od wywłoczenia psów postrzelonych w rynku — gr 1 szel. 6”, że na terenie miasta i przedmieść urządzano co jakiś czas istne łowy na owe psy. Zabite zwierzęta, a także zdechłe z głodu i chorób, zatrujące smrodem powietrze należało uprzętnąć i zakopać. O tym księga też często wspomina. Tej funkcji podejmowali się właśnie kaci, w braku tych, również najubożsi ludzie. Być może, że właśnie katom polecano zabijanie bezpańskich psów.

roku zapisano, że „stróżowi, króci na wiezi w ratuszu strzeza, za skornie (skórnice — skórzane spodnie) na zimę doliczmy — gr. 20”. Tedy „psiaki” mogą być lokalną tradycją.

Może właśnie dlatego Łańcut — co było raczej wyjątkiem — nie posiadał własnego kata, przez miasto przepływa nieustannie fala owych katów-biegunów. Trudno powiedzieć, czy to było jakieś ogólne prawo krajowe, czy specyficznie łańcutkie, dość że każdy wędrowny kat, chociażby nie dostał żadnego zatrudnienia, otrzymywał z kasy miejskiej 1 grosz, co skrupulatnie były notowane. Można mówić o istnej kaciej powodzi w Łańcutcie.

Ważny dla przykładu kilka pozycji: 1584 r. — „Katom dwiema ich prawa — gr. 2”

1585 r. „Katom ich prawo w drodze idącym dalszym gr. 3”.

Czy woece powyższego nie istniały jakieś kacie spótki? Pewne przestępstwa, któreby można było nazwać społecznymi, ścigane były i karane ze szczególną pasją i dużym nakładem kosztów; są to zabójstwa, złodziejstwa i wykroczenia przeciwko VII przykazaniu, które oficjalnie były nazywane nierządem lub cudzołóstwem. Te ostatnie występki, podobnie jak i gdzie indziej, karane były najpierw chłostą, a następnie „wyświeceniem”, czyli wypędzeniem z miasta, zazwyczaj na zawsze. Coś podobnego miało miejsce w dniu 3 lutego 1600 r., wówczas bowiem zapłacono „Smogakowskiemu od śmigania nierządnic z zwonnikami (dzwonnikami) zamkniętej, z miasta wygnanej — gr. 4. Owe 4 grosze świadcza, że „śmiganie” musiało być jakieś dłuższe i mocniejsze, wymagające więc większego wysiłku, taka bowiem operacja zazwyczaj taniej kosztowała.

Jednak w stosunku do płci pięknej również i kobiety. Otoż w kwietniu 1595 r., najwidoczniej służąca — a te były wówczas niesłychanie marnie wynagradzane — pracodawcy swemu, Tomaszowi Osmólskiemu coś widocznie ukradła, urzędowa bowiem notatka nazywa ją Jadwigą — złodziejką. Musiał się więc odbyć sąd, zapadł wyrok, o którym dowiadujemy się bliżej właśnie z wyćiątków bo: „Katowce, co ją śmigała u przegrza i z miasta wyprowadził, co strawiła i za striczki i mioty — gr. 51 szel. 6”.

Jak już wspomniałem wszelkie złodziejstwo karane było ongiś bardzo surowo, do kary śmierci wlicznie (może dlatego było go stosunkowo niewiele). Co Jadwigę ukradła, nie wiemy; jeśli ją ukarano tylko chłostą, musiał to być jakiś drobiazg. Ostatecznie oddano ją w ręce nie mężczyzny, ale kobiety, którą nazywa się „katówką”. O takim zwodzie gdzie indziej raczej się nie słyszy. W Łańcutcie żadnego miejscowego mężczyzny, który wykonywał karę chłosty nie nazywano katem. Nasz kobiecy kat musiał stosować jakąś gradację chłostania; lżejsze mioty, po prostu jakąś różgą i cięższe stryżkami, czyli powrozami, związanymi w jakiś pek. Naturalnie publicznie, pod pretekstem, na pewno na gołe ciało i wobec liznej gawiedzi, dla której było to czarującym przedstawieniem, teatrem, emocjonalnym dziedzicem.

Katówka strzymała bardzo wysokie wynagrodzenie i to właśnie przemawia za jej zawodowością. Bo taki Murczek, który 3 V 1596 r. „bił niewastę z folwarku pańskiego”, otrzymał tylko 1 grosz.

Ta wyjątkowa paradna i kosztowna egzekucja da się chyba wytłumaczyć tym, że Osmólski należał do patrycjatu miejskiego i zdaje się piastował wysokie dygnitarstwo. To nawet w karze musiało być zaakcentowane. I jeszcze należy przypuszczać, że wykonanie wyroku celowo oddano kobiecie, która w stosunku do kobiety dawała chyba gwarancję większej brutalności, aniżeli mężczyzna.

Łańcut nie utrzymywał więc stałego kata, uprawnionego do ścinania, chociaż w mieście trafiały się wyroki śmierci. Jeden z nich miał miejsce w dniu 28 II 1593 r. Niekiśki Paweł Rusin został skazany na śmierć nie przez ścięcie, ale przez powieszenie, a zajął się, że za zawodowe złodziejstwo. Tu należy przypuszczać, że jeśli ścinanie dokonywane było na honorowym miejscu, na rynku koło przegrza, przed ratuszem, to wieszanie i palenie żywcem zwyczajnie dość daleko za miastem, na miejscu specjalnie hańbiącym. W Rzeczowie tego rodzaju stracenia odbywały się na zachód od miasta (pod

# TWÓRCZOŚĆ KONSTANTEGO KRULY



Do tych niezbyt optymistycznych uogólnień skłania mnie nie tylko wizyta w Białowej Górnej u artysty ludowego Konstantego Kruly, ale również wypowiedzi innych twórców.

W pracowni Kruly, niegdyś nauczyciela zawodu, znajduje się kilkanaście prac w drewnie. Wiele z nich o niezwykłej świeżości i oryginalności jest wyrazem jego spojrzenia na ludzi i świat, znajomości środowiska, które przez długie lata bacznie obserwował, zgłębiał i pokochał, „Kolejniczy”, z którym chodził od domu do domu, „szopki”, z którymi kolelował, „przedzenie nici”, „modlacy się Żydzi” (było ich w Białowej 8 tys.), „rżnięcie drzewa” — obserwacje z Bieszczadów i wiele innych. Wszystkie swoje prace artysta opisuje wierszując np. „babie lato”.

Biała pajęczyna ścierniska okrywa Oj, żeby ja prędko szyć się nauczyła.

Krula jest również laureatem dwóch nagród. W 1964 roku otrzymał drugą nagrodę na konkursie pamiątkarstwa ludowego i artystycznego, zorganizowanym przez Wydział Kultury Prezydium WRN i Muzeum Okręgowe w Rzeszowie. W 1965 roku otrzymuje pierwszą nagrodę i dyplom uznania na konkursie zorganizowanym przez Izbę Rzemieślniczą w Rzeszowie.

Na pewno na oryginalną twórczość artysty znaleźli się chętni nabywcy, a niejedna praca mogła być powędrować w daleki świat. Niestety, twórczość w drzewie jest niezwykle pracochłonna, a artysta pracuje sam bez większego zainteresowania środowiska i innych placówek kulturalnych. Pewnie, że okresowe wystawy mogą być zachętą do dalszej twórczości, ale do brze zdajemy sobie sprawę, że nie podtrzymają, tak bogatego niegdyś życia sztuki ludowej, na terenach obecnego województwa rzeszowskiego.

E. G.



No i przyszła ta pora, że częściej się nas po raz trzeci „Papa” dwójga starych mistrzów od dialogu — Fiersa i Caillaveta, „Papa” z telerecordingu, „Papa” z niestarzejącym się amantem małego ekranu — Mrożewskim, „Papa”, co jest nieuchronnym przypomnieniem o lecie, ogórkach, latwym flircie, uczuciu na sezon, teatrzyku ogródkowym i... rozstaniu. Krótkim jak owa miłość z „Papy”, ale też rodzajem chęć powrotu i holdu dla starych przyzwyczajęń.

Miło się stało, że właśnie sama telewizja dostarczyła pretekstu do tego krótkiego pożegnania z moimi Czytelnikami na piękny sezon, z podgrzewanym repertuarem teatralnym, który jak przystawione memento ostrzeża, że wkraczamy w czas powtórek, telerecordingu, videomagnetonu, natomiast (myślę naturalnie o temperaturze!) publicystyki i tych tam wszystkich rzeczy, co niby usprawiedliwione wakacjami, sporo nam nerwów napsują.

A że piękny sezon wyklucza psucie nerwów, przestaje! Odsapnę słońcem, powąham dziewannę, poddam nad trawką i motylem, przeżyję zapewne coś tam i, uodporniona na następną jesień, wrócę, by chwalić polską telewizję, podziwiać ad novum spikera-archeologa, uczesanie Nowickiej, może Norwida u Hanuszkiewicza, może nową Sowę... Przysięgam, że zaraz Was zapamiętam, bo też coś tam w międzyczasie przeczytacie, bo też się różności nawą-

chacie, bo zbraknie Wam w końcu tego pudła, które tylko optymistycznie dowcipnie może nazwać rozrywką. Dziś, zbyt wielkie zmęczenie ciągle pcha do wybrzydeń, a pomaga mu dzielnie letnie planowanie, które, też przysięgam, żadnym planowaniem nie jest, nie było (choć może będzie jak nas już nie będzie). Ze zaś wszelkie inicjatywy wymagają czasu — w rodzimym w szczególności — zostawmy im (to wymyślił ten drapieżny zaimek?), go: niech partaczą w lipcu i sierpniu, niech się napowtarzają, niech nam zbrzydzą do reszty Mścicieli z Laramie i Szeryfów w spódnicach, Greer Garson i Clarka Gable'a, niech nie dają teatru nowego, ni publicystyki ostrzegającej, niech przypomną Klossa w czasie okupacji, a pomyślą o Klossie np. w Kosmosie, niech odwołą moment filmowania przygodę Wołodyjowskiego, bo i tak nic z nich dobrego nie będzie; niech nas zmęczą i zdęcą, bo, zaawstydzeni, może od września zrekompensują kanikule i błysną talentem ogromnym, takim na miarę Polaka, co musi, bo czuje nóż na gardle?

A my tymczasem czujmy tylko to lato, wyobraźmy je sobie gorące i urokliwe, ucieknijmy w nie, utopmy się w nim zachłannie i bez pamięci. Zostawmy tylko odrobinkę miejsca na Festiwal Dramatyczny, który nam grozi właśnie w wakacje, choć dla czego w wakacje, to już tak bardzo nie umiemy wytłumaczyć. Miejsmy przy tym nadzieje, że będzie lepszy niż zeszłoroczny, że rzeczywiście zmieni się w przegląd Polskiej teatralnej, bodaj w części repertuarowej przemysłany i zaplanowany.

Tylko dlatego, by nie zarażać Was niewiara — niewiele będę pisała o pierwszej pozycji z długiej listy teatrów — „Zaloznej i prawdziwej tragedii pana Ardena z Veresham, przez nieznanego autora opowiedziane”, a wystawionej przez wytracony i stary Teatr Stary z Krakowa, w równie wytracony, zdawałoby się reżyserii Swinarskiego. Zgrzyt to był bowiem niepomierny już w programie imprezy, po którym wypadła tylko zakrzyknąć: cóżże ty, w końcu, nowoczesności? Bo było to oczywiście przecie nawiązanie w koncepcji do Hübnerowskiego „Don Alvarosa” — komedia zapomnianej, co przed nieśmiertelną dwoma laty zaszłała nowym blaskiem w tym teatrze, odkryta reżysero, aktorsko i staraniem dwójga świetnych scenografów: Minticz i Skarżyńskiego. Tragedia pana Ardena nie zająłaby niczym; reżyser stłamsił ją rzekomymi poszukiwaniami, styl przeszarżowanej groteski, wyjątkowo wszystkie nieporadności dramaturgiczne i zupełnie straszne aktorstwo, któremu przeciwstawiła się tylko może Dubrawska i nieco może Fabisiak (przemycali zresztą wspomnienie o „Tangu” Mroźka), a sam wybór tego szesnastowiecznej ramoty jako sztuki inauguracyjnej ogromną imprezę kulturalną w roku milenijnym, przy najwyżej nawet wyobraźni, tłumaczył się niczym ani da, ani może.

Przeto, by nie zarażać Was niewiara, że niewiele znówu racie bytu przed tą imprezą, napiszę o niej już w wyrażeniu się z lata, po powrocie do codzienności, po stęsknieniu się za spikierem-archeologiem i inną świetną resztą.

KRYSTYNA

F. S. Mam też nadzieję zupełnie przedwakacyjną, że moi Czytelnicy zechcą, jak to czynili do tej pory, dalej podziwiać mnie listownie, żem nieosmotniona w sądach, że oni też mają czasem ochotę pokłód i pochwałić. Ci zaś, co nie przebaczyli mi napaści na sprawodawcę z Wyścigu Pokoju, nabiorą koncepcji do wymyślniejszych stormowań o sądach Krystyny — w gruncie rzeczy im sprzyjającej, która z dziennikarskiego obowiązku nauczyła się rozróżniać koszykowie od siatkówki, hokej od tenisa i wiele różnych dyscyplin sportu od innych dyscyplin sportu... Co, w końcu, takie łatwe nie jest, kiedy się zaczyna nieco później i bez treningu praktykującego kibica.

A więc do zobaczenia, do poczytania, do oglądania!

Sytuacja twórcy ludowego żyjącego i pracującego w miejscowościach o małej albo żadnej tradycji w dziedzinie twórczości artystycznej jest często nie do pozazdroszczenia. W najlepszym razie artysta uchodzi w swoim środowisku za nieszkodliwego dzwaka, często nieroba, a czasem narażony jest na kpiny czy też wymowne stuknięcie palcem w czoło. Nietrudno zresztą zrozumieć taki stosunek do twórcy w środowiskach małych miasteczek i wiosek, jeśli uzmysłowimy sobie, że intratność, jak i zaszczyty płynące z tego zajęcia są znikome. Toteż tylko nieliczni artyści mają odwagę poświęcić się wyłącznie twórczości ludowej.

## historyka

# PLADZE

dzisiejsza Baranówka), i od tego całej pole nazywało się „Pod szubienicą”. Łańcut zaś ma swoją „Wisielówkę”, wzgorze na południe od miasta (powstałe tam przedmieście popularnie nazwane jest właśnie Wisielówką). Do miejskiej szubienicy w r. 1600 zakupiono nową drabinę za 3 gr.

Czy w czasie kiedy miano stracić Rusina nie zjawiał się kat-biegun, czy może chciano specjalnie podkreślić wagę aktu, dość, że do powieszenia skazańca sprowadzono miejskiego, chyba „etatowego” kata z Jarosławia, któremu zapłacono furmankę w obydwie strony, (a więc, też były koszty podróży), w kwocie 27 gr. Za samą egzekucję kat zainkasował 2 floreny (60 gr), i jeszcze „co strawił kat w gospodzie i co przepił wszystkiego — gr 44”. Dziś to nazywamy dietą.

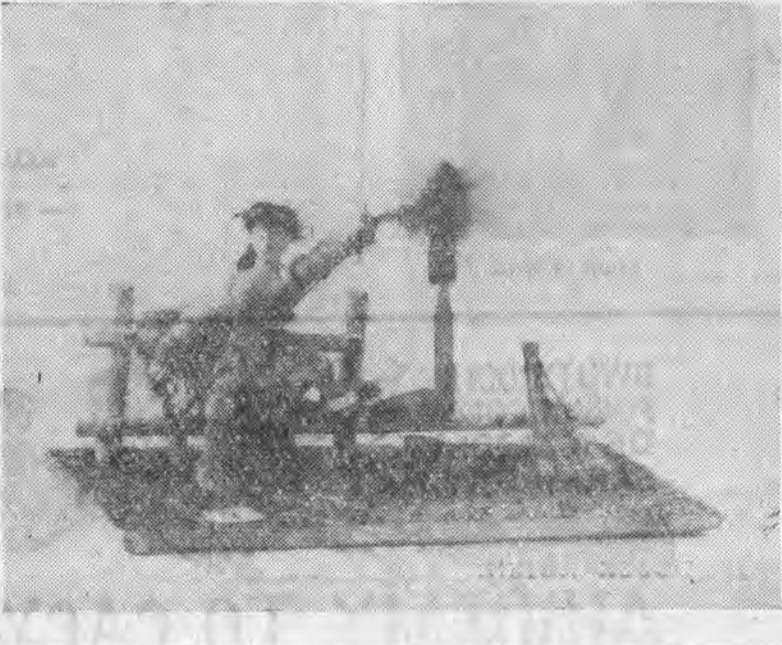
Innym razem, też w r. 1600, prawdopodobnie ten sam kat, bo również z Jarosławia, przy okazji powieszenia innego złodzieja, „co strawił nim go obwieścił i napił — gr 40”. Z powyższego wynika, że wysokość diety nie była określona, zależała od apetytu i pragnienia mistrza.

Przy wydatkach egzekucyjnych zawsze występowały owe nieszczone „świecie do męczenia”, stosowane naturalnie przy torturach, jeszcze przed wyrokiem.

W Łańcutkiej „kryminalistyce” stwierdzamy ciekawy zwyczaj: jeśli ktoś spowodował zamknięcie w miejskim więzieniu podejrzanego czy nawet stwierdzonego przestępcę, to przez pewien okres, a zwyczajnie przez cały czas aż do wyroku i jego wykonania, musiał wieźnia żywić. Dopiero po wszystkich przedkładach sądowi rachunek za żywienie wieźnia, sąd go zatwierdzał i dopiero wówczas kasa miejska zwracała owe koszty.

Zdarzało się, jak już wspomnieliśmy, że złoczyńcy przeważnie złodzieje wylamywali się z więzienia. Czy nie przy pomocy współników? Jeśli zaś nawet nie skazancy, a tylko podejrzeni, zwłaszcza o kradzież wylamali się i zbiegli w nieznanym kierunku, miasto zarządzało energiczne poszukiwania, co pochłaniało znaczne wydatki.

W roku 1583, widocznie pod naciskiem, czy na prośbę wszystkich ówczesnych cechmistrzów, pisarz miejski pisze listy gończe za kims, który działał na szkodę cechów. Prawdopodobnie przytrzymał go, a może tylko stwierdził jego pobyt w Radymnie, bo z ramienia miasta pojechał tam Stanisław Kuśnier, aby rozpoznać i ew. oskarżyć owego złoczyńcę. Kosztowało to kasę miejską aż 3 floreny. Jaka to była kwota, najlepiej zrozumiemy przez porównanie; za nowy kołcz dla trębacza miejskiego, siedzącego na wieży ratuszowej całą noc, nie tylko w lecie, ale i w zimie, zapłacono 2 floreny i 6 groszy.



## PRAPREMIERA FILMU „KTO SIĘ BOI VIRGINII WOOLF”

W kinie „Pantages” w Hollywood odbyła się prapremiera filmu „Kto się boi Virginii Woolf?”, osnutego na znanej sztuce Edwarda Albee.

Dwie czołowe role grają Elizabeth Taylor i Richard Burton. W roli młodej pary występują Sandy Dennis i George Segal. Scenariusz opracował Ernest Lehman. Film jest niezwykle udanym debiutem reżyserskim Mike'a Nicholsa — zdaniem krytyków niespotykanym od czasów słynnego filmu „Obywatel Kane” Orsona Wellssa.

Film spotkał się z entuzjastyczną oceną amerykańskich krytyków filmowych. Recenzent „New York Timesa” Stanley Kaufman uważa go za „najrzetelniejszy i najostrożniejszy film amerykański, jaki kiedykolwiek wyprodukowano”.

Wytwórnia Warner Brothers postanowiła, że oglądać go mogą tylko osoby dorosłe, widzom zaś poniżej 18 lat wolno będzie chodzić nań tylko w asyście jednego z rodziców.

(Kt-PAP)



EDWARD KARDELEJ: Szkice o naszej krytyce społecznej. W-wa 1966. Kłw, s. 216, cena zł 14.

Praca Jugosłowiańskiego autora, której celem jest kształtowanie demokratycznej świadomości społecznej w warunkach socjalistycznych stosunków między ludźmi. Stąd komentarze do zjawisk zachodzących w społeczeństwie socjalistycznym.

WAGŁAW STANKIEWICZ: Rozwój angielskiej myśli wojenno-ekonomicznej. W-wa 1966. MON, s. 378, cena zł 29.

Analizując podany w tytule temat autor zwraca głównie uwagę na ogólny rozwój społeczno-gospodarczy, charakter wojen w danym okresie, panujące poglądy polityczne oraz ideologiczne. Problem wojny a gospodarka analizuje autor począwszy od XIV wieku. Szerzej omówiona pierwsza i druga wojna światowa. Obszerna bibliografia.

ROALD AMUNDSEN: Zdobywcie Bieguna Południowego. Wyd. II. W-wa 1966. Iskry, s. 439, cena zł 20.

Historia zdobycia Bieguna Południowego, spisana przez kierownika wyprawy, norweskiego naukowca. We wspomnieniach autora jak w kalejdoskopie oglądamy piękno surowego, podległowego krajobrazu. Liczne ilustracje, mapka.

LEON PASTERNAK: Figa z makiem, z Pasternakiem. W-wa 1966. Iskry, s. 286, cena zł 20. Biblioteka Stanczyka.

Tomik wierszy zebrany z wszystkich wydanych przez autora tomików poe-

wtedy wszystko stanie się jasne i nie będzie budziło oburzenia. KRYSTYNA Z JASŁA: Niestety, nie możemy Pani zachęcać do twórczości poetyckiej. Wiersze są zimne, wydumane i bardzo słabe. Brak im lirycznego ciepła, wzniesienia — brak odkrywcości intelektualnej.

AK — GŁOGÓW MLP: Ani wiersze ani preza nie spodobały się nam. W wierszach zbyt wiele naiwnej personifikacji. Np. „Wieżie kapłeki śmieją się pigowatym uśmiechem, zielona ziemia puszcza Isbuzersko oko, dzięki wierzy sła pozdrowienia skowronkowi itd.

Poza tym są zbyt rozgadane — pełno w nich zbytecznych określeń, przymiotników... Mimo to pojawiają się w nich czasem obrazy świadczące o żywej wyobraźni. Ale stać do dobrych wierszy jeszcze zbyt daleka droga. Proza nieodurna — w tym opowiadanku nie ważnego Pani nie mają do powiedzenia.

tyckich i satyrycznych. Zawiera utwory liryczne, satyryczne oraz fraszki.

HOWARD PYLE: Robin Hood. Wyd. III. W-wa 1966. Iskry, s. 224, cena zł 17.

Autor (1853-1911) początkowo przetwarzał stare baśnie i legendy. Jego najlepszą książką jest „Robin Hood”. Bohater tytułowy wraz z bandą wesółych towarzyszy na własną rękę wywalczy sprawiedliwość kupując bogactwo, zdobyte zło roztając ubogim i pokrzywdzonym. Barwny obraz Anglii XII wieku.

Zaopatrzenie emerytalne. Poradnik szczegółowy. Według stanu prawnego na dzień 1 IV 1966. W-wa 1966. Wyd. Prawnicze, s. 584, cena zł 70.

Opracowany przez fachowców poradnik dla ludzi mających przejść na emeryturę. Wiele wykazów i tabel. Dobrze opracowany skorowidz rzeczowy.

FRIEDRICH L. BOSCHKE: Proca tworzenia trwa. W-wa 1966. PWN, s. 363, cena zł 28. Biblioteka Problemów.

Autor, redaktor naukowy niemieckiego czasopisma chemicznego, w książce tej podsumowuje to wszystko, co dzieje się nauka wie i powstaniu, kształtowaniu się i rozwoju Układu Słonecznego, a w nim naszej planety, o pojawieniu się na niej życia. Współczesne metody badania odległych w czasie zjawisk.

MAGDA LEJA: Wszystko dla naszej mamy. Wyd. II. W-wa 1966. Iskry, s. 175, cena zł 12.

Świat widziany oczyma dziecka jest tematem tej niepozowanej humoru opowieści. Dowcipne ilustracje Bohdana Butenki.

JOACHIM JOESTEN: Oswald zabójca, czy kózioł ofiarny? W-wa 1966. Kłw, s. 378, cena zł 20.

Jeszcze jedna pozycja związana z zagadką śmierci prezydenta Kennedy'ego. Ciekawe opisy faktów, dokumentów, oraz obszerny komentarz. Materiał ilustracyjny.

„ZBIGNIEW” — NAROL - MIASTO: Nie skorzystamy. Wiersze mimo politycznej tematyki nie mają żadnej intelektualnej i artystycznej wartości. Sentencje, wykrzykniki, oklepane mądry — to nie poezja. Cytujemy: „Pamiętaj!” zło — złem się płaci... Pamiętaj! Jest sprawiedliwość na świecie... Kto walczy o wolność i prawo ma wielu przyjaciół na świecie... itd. To wszystko prawda, ale powszechnie znana. Wszyscy o tym wiedzą.

„RADAR” — ZAGORZYCE: Pisze Pan w swych wierszach: „Czekałem na wiersz, na natchnienie. Pojąłem: nie przyszły, nie przyjdą...” Zgadamy się, że nie przyszły i chyba nie przyjdą. Ale dlaczego wobec tego Pan mimo wszystko pisze wiersze i przesyła do oceny? Proszę teraz dla odmiany wysłać nam utwory, przy których tworzeniu natchnienie Panu dopisało.

Na naszym ekranie

# Henry Fonda



Henry Fonda

Znamy go z niewielu, ale jakże różnorodnych ról. Widzieliśmy go jako człowieka z Dzikiego Zachodu w „Gwieździe szeryfa” czy „Dwu złotych cółtach” (starsi pamiętają go także z „Miasta bezprawia”), podziwialiśmy jako Pierre'a Bezuchowa w „Wojnie i pokoju” oraz jako jedynego sprawiedliwego w „Dwunastu gniewnych ludziach”. A jednak, kiedy przygotowując ten materiał, zaglądnąłem do spisu laureatów Oscara, nie znalazłem tam nazwiska Fonda. Byłem trochę zszokowany. Jak to, ten wybitny aktor, bez którego nie można wyobrazić sobie współczesnego amerykańskiego kina, nie został ani razu wyróżniony tą nagrodą?

Niestety, spis mówił prawdę. Z biografii aktora wynika, iż kiedyś była uprawiana rozprawy o jego kandydaturze, a cała niemal prasa amerykańska zapewniała, że słynna statuetka przypadnie mu w udziale za rolę Toma w ekranizacji wielkiej powieści Johna Steinbecka „Grona gniewu”. Nagrodę dostał jednak James Stewart za „Opowieść filadelfijską”. Kiedy później, w roku 1957 Fonda znów miał szansę (za rolę w „12 gniewnych ludziach”), Oscara przyznano znakomitemu zresztą Alecowi Guinnessowi za „Most na rzece Kwai”. Był więc Henry Fonda pechowcem, albo też grał role, które nie mogły przyspać do gustu tym, którzy o przyznaniu Oscara decydowali. Ale w podobnej sytuacji był już przedtem inny słynny aktor, który również „nie zasłużył” na tę nagrodę. Charlie Chaplin nie był nigdy uhonorowany przez Academy of Motion Picture Arts.

Henry Fonda urodził się w 1905 roku w Grand Island w stanie Nebraska. Karierę artystyczną rozpoczęła na deskach teatralnych, występując w drobnych rolach i jako statysta. W filmie debiutował w roku 1935 rolą w obrazie „Farmer bierze sobie żonę”, a następnie gra w „Tylko raz żyjemy”. Rolą w tym filmie zwraca na siebie uwagę. Rzecz ciekawa — jest to rola młodego człowieka, który wpadł do środowiska złodziejskiego i daremnie usiłuje się z niego wyrwać. Na przeczłowie stoi bowiem cały amerykański system sądowy i ustrojowy, system, który Fonda jeszcze nieraz zaatakował ustami swoich ekranowych bohaterów.

W 1938 roku 33-letni aktor gra rolę młodego hiszpańskiego chłopca



Peter Fonda

Marko, który w szeregach armii republikańskiej wystąpił do walki z faszystowskimi oddziałami Franco. Rolą, która przynosi Fonda dalszy rozgłos jest rola Abrahama Lincolna w filmie o młodych latach słynnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W roku 1940 Fonda odnosi wielki sukces. Jego kreacja Toma w ekranizacji „Gron gniewu” spotyka się z ogromnym uznaniem krytyki i publiczności. Młody człowiek zapytujący, jak to może być, że jedni ludzie posiadają miliony akrów ziemi, a inni giną z głodu, oznajmiający w pewnej chwili matce „Będę wszędzie, gdzie głodni walczą o chleb, będę wszędzie, gdzie lud walczy o sprawiedliwość” — znajduje zrozumienie u milionów widzów.

Lata czterdzieste to okres ciężkiej, ale nie zawsze wdzięcznej pracy. Fonda gra w nich cowbojów, ludzi Dzikiego Zachodu, eleganckich oficerów marynarki, to znów gangsterów. Z tych lat pochodzi słynne u nas „Miasto bezprawia” oraz „Historia jednego fraka”.

W okresie powojennym aktor gra nie tylko na planie, ale i w teatrze. W Polsce widzimy go dopiero w latach pięćdziesiątych, między innymi w „Wojnie i pokoju” zrealizowanej przez Kinga Vidora. Jego Pierre jest jedną z najciekawszych, najlepiej zaigranych postaci tego filmu i budzi ogromną sympatię widzów.

W 1957 roku Fonda jest producentem filmu „12 gniewnych ludzi”, w którym gra jednocześnie jedną z postaci ze składu sądownego. Ten znakomity film zyskuje sobie ogromny rozgłos i ugruntowuje sławę Fonda w świecie.

Trzydzięci lat pracy w filmie i 50 ról w różnych obrazach. Ról różnorodnych, odmiennych, ale zawsze zagranicznych inteligentnie i z talentem. „Incident w Ox-Bow”, „Jesse Ja-

mes”, „Zbieg”, „Fort Apache”, „Mister Roberts”, „Burza nad Waszyngtonem” oraz wyświeltany obecnie u nas film o kampanii wyborczej na prezydenta USA — „Ten najlepszy” — oto tylko fragment jego filmografii. Wszystkie jego role w tych filmach, to role ludzi szlachetnych, walczących o swoje idee, uczciwych i lojalnych. Fonda gra w filmach nie nazbyt często, ale każda jego nowa kreacja świadczy o jego ogromnych zdolnościach aktorskich.

61-letni aktor wychował sobie następców. Na Zachodzie coraz większą popularność zdobywa sobie jego córka Jane, karierę aktorską obrał sobie także syn Peter.



Jane Fonda



KONSTANTY KRULA

— rzeźbiarz ludowy

RYS. J. SIENKIEWICZ

DWUTYGODNIK  
POŚWIĘCONY  
DŁYCIJOM  
SARMATÓW



REDAGUJE  
E. GAJEWSKI  
RYSUJE  
J. SIENKIEWICZ

## ALBOŚMY TO CACY, CACY... Cudowne dziecko

Kiedyś żona mówi do mnie:  
— Wszystko tylko na mojej głowie, jutro nie będzie co do ust włożyć. — Niedziela. Pędz duchem do „Delikatessów”. Weźmiesz ćwierć kilo szynki, śmietanę, masło... Aha, całkiem bym zapomniała, na placu nie ma ziemniaków, więc kup 2 kilo tych delikatessów.  
W Domu Handlowym „Delikatessy” ludzi huk. Stała się kolejka w „jarzynowym”. Kobiety trąkoczą i psioczą. Ja też się niecierpliwie. Kolejka „wlecze się” jak przeworska ciuchcia. Co chwilę ktoś z dzieckiem na ręku przepycha się poza kolejką i znów nie ruszam się z miejsca. Pomyśleć, straciłem pół godziny dla 2 kilo ziemniaków. Pędzę więc chyżo do działu mięsnego, jednak na widok zakreconego ogonka zrobiło mi się gorąco i zimno. Myślę sobie — zerknę na ladę czy jest szynka? Nagle słyszę głos z kolejkii:  
— Hola panie piękny Antonio, do kolejkii!  
Myślę, do mnie ta mowa czy nie? Piękny... i owszem, ale dlaczego Antonio? Zwracam się więc do faceta grzecznie.  
— Pan coś do mnie?  
— Nie strugaj pan wariata, cóż to inwalidę odstawiasz. Może impotent? — dorzucił ktoś z tyłu. Kilka osób zachichotało, wycofałem się więc zmieszany i szukam zakończenia kolejkii.  
— Pani ostatnia? — zwracam się grzecznie do jakiejś damulki wcześniej urodzonej. A ta, jak na mnie nie wyjedzie:  
— Tylko sobie nie ostatnia, gorszych pan nie widział!  
Naród niezwykle nerwowy, więc nie puszczam pary. Stoję już dobrą chwilę i choć nie ruszyłem się z miejsca, czas jako tako mi leci. Dowiedziałem się już z kim żyje Birbancki, jak przyprawia Psztycka rogi panu Psztyckiemu, kto żonę czasem traci i kogo żona. Kto jest ladaco i kto lajdark. Czasem tylko dochodzi do ostrzejszej wymiany uwag. Właśnie do lady przepycha się jakiś wybujały podłotek rodzaju żeńskiego, więc podniosł się krzyk. Pannica skromnie spuściła wzrok i mówi:  
— Ciężarna jestem.  
Nawet najgłośniejsi krzykacze umilkli. Podłotek kupił pół kilo szynki i z godnością opuścił stoisko kierując swe kroki na piętro. Po chwili jakaś głuchawa starowina powiedziała do siebie: toż jeszcze dziecko, 13 lat, mieszkamy po sąsiedzku, koniec roku, uczyć się trzeba.  
Podniosł się duży krzyk. Ktoś zaklął brzydko, a inny agitował, że trzeba żądać od każdej okazania zaświadczenia lekarskiego. Tymczasem kilka matek ze swoimi pociechami na reku uszczupliło zapasy szynki poza kolejką. Po dwóch godzinach i ja dotarłem do lady. Jednak w ostatniej chwili jakaś pracująca matka z rozkrzyczanym maluchem wepchała się przede mną. Sopran przyjemniaczka wydawał mi się nieobcy. To chyba ten z „jarzynowego”, tylko matka jakoś mi nie pasowała. Po chwili okazało się, że matka z muzycznym maluchem kupiła ostatek szyn-

ki i dla mnie zabrakło. Opuszczam więc Dom Handlowy „Delikatessy” i aż mnie trzęsie ze złości. A tu patrzę, pracująca matka oddaje rozkrzyczanego bachora drugiej pracującej, dziwnie mi znajomej matce.  
— Bardzo jestem wdzięczna, pani Kurpielowa, zdobyłam ostatnie 30 dkg.  
Stuknąłem się w czoło i przyrzekłem sobie solennie, że więcej już nie będę w ciemnię bity. Gdy miesiąc temu żona wydelegowała mnie po zakupy, powiedziałem sobie: śmierć frajerom i po sąsiedzku wstąpiłem do dozorczyńni pani Walentowej. Kobiectnie się nie przelewa, bo w domu wyż demograficzny, a najmłodszy ma dopiero 12 miesięcy.  
— Pani Walentowa — powiadam — wezmę dzieciaka na pół godziny bo idę po zakupy. Mleko w proszku zafasuje, powietrze szkrabowi dobrze zrobi, a pani odetchniesz od tych krzyków.  
— No dobrze, tylko dzieciaka mi pan nie upuść.  
Od tego czasu tylko ja chodzę po zakupy, a gdy byskawicznie wracam z miasta, żona patrzy na mnie z nabożnym szacunkiem. Uśmiecham się tajemniczo i cicho sza. Wczoraj wpadłem do pani Walentowej po dzieciaka, w domu zabrakło pomidorów. Rozglądam się po mieszkaniu i malucha nigdzie nie widzę. Zatrwożony pytam:  
— Gdzież to Dudus?  
A pani Walentowa obojętnie mi mówi:  
— A gdzie ma być, w pracy.  
— Że jak? — myślałem, że się przesłyszałem.  
— No nie rozumiesz pan, jest na zakupach z panią Wróblewską.  
— Aha, za długo wrócić?  
— Za godzinę.  
— To ja wpadnę o 16.  
— Zaraz, zaraz — rzekła pani Walentowa — coś pan w gorącej wodzie kapany. Najpierw trzeba się wpisać do książki zamówień, bo na dzisiaj Dudus limit godzin wyczerpał. Młodociągni nie mogą pracować 8 godzin. Wiedz pan także, że żadne ciuchy, dzieciak teraz pracuje na akord, za pół godziny bułi się „dychę”. Poza tym musi pan podpisać zobowiązanie o przestrzeganiu przepisów bhp. Jak się dziecko zmoczy, trzeba go zaraz przewleć. W przypadku przeziębienia i utraty zdrowia do pracy pan wyrównuje straty poniesione z tego tytułu.  
Czułem, że żółć zalewa mi wątrobę...  
W niedzielę spotkałem Dudusia na spacerze w nowym, modnym wózku. Na wszelki wypadek usiłowałem przyjemniaczka udobruchać — nuż nie zechce u mnie pracować. Zaczepiam go przymilnie.  
— A kłto tio? Dudus, taki cacy cacy.  
Zarozumiał się szczeniak zmierzyl mnie wzrokiem znużonego światowca i więcej na mnie nie zwracał uwagi, sepleniąc do siebie.  
— Każdą wiosną dzieci losną.  
Dziwić się? Cudowne dziecko. Zarabia dwa razy tyle co ja!

